# POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONIALNEJ

Nr 6 | WARSZAWA, CZERWIEC 1939 ROKU | ROK VI



# Po Zjeździe Walnym — Dni Morza

*VIII Walny Zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Kolonialnej skończył swe obrady. W murach starego Torunia, miasta Kopernika, stolicy Ziemi Pomorskiej, uchwalono szereg rezolucji, których treść oznacza jednomyślne stwierdzenie konieczności morskiego władztwa Rzeczypospolitej.*

*Warunkiem posiadania pełnej władzy na morzu jest całkowite uświadomienie społeczeństwa w zakresie spraw morskich i z morzem związanych. „Dni Morza" urządzane rok rocznie, mają pogłębiać i rozszerzać owo uświadomienie. Mają już one swoją tradycję, stały się doroczną rewią sił Ligi Morskiej i Kolonialnej, której szeregi wzrosły dziś do miliona ludzi. W dniach od 25 czerwca do 2 lipca br. wszyscy z owej milionowej rzeszy, starzy i młodzi, na wsi, w fabrykach robotniczych i miastach zamanifestują swe zrozumienie dla spraw morza i gotowości do współpracy w ramach naszej organizacji nad uporczywym wsączaniem do polskich serc i muzgów przekonania, że Polska nie da odepchnąć się od Bałtyku i zapewni sobie na morzu takie stanowisko, jakie zajmują narody, które wolą i pracą tworzą bieg swej historii.*

*Społeczeństwo polskie złożyło już dowody pozytywnego stosunku do spraw morza. Ze składek FOM zbudowano potężny okręt podwodny „Orzeł" i zamówiono pierwszą serię ścigaczy. Istnieje szereg pomniejszych wyników naszej pracy, tworzących jednolity front walki o nową, morską Polskę. Ale gdy z drugiej strony spojrzymy w przyszłość, widzimy taki ogrom zadań od wykonania i potrzebę zmobilizowania tak wielkiej ilości rąk do pracy, że wydajemy się dziś niewystarczającą grupą ludzi, walczących na morskim szańcu Rzeczypospolitej.*

*Zbliżające się „Dni Morza" będą dla nas doroczną mobilizacją. Niech nie będą one bezdusznym obchodem, niech nie upajają nas dumą z dokonanych czynów, lecz niech natchną otuchą i zapałem do dalszej pracy, do nieustannych wysiłków w dziele przebudowy Polski na państwo morskie, a Polaków na naród morski.*

# Nasza Ojczyzna jest wielka

Jeszcze nie zabliźniły się wszystkie rany po kataklizmie Wielkiej Wojny — a już znowu przez lądy i morza dmuchnął wicher historii, obalił słupy graniczne, wyniósł jedne, poniżył drugie narody, jednym dodał mocy, inne złamał i zdruzgotał.

Sprawiedliwość, prawo samostanowienia narodów, normy etyczne — to blade wspomnienia przeszłości. Dziś, w wieku niebywałego rozwoju techniki, rozkwitu cywilizacji zaczęło rządzić, jak za zamierzchłych barbarzyńskich czasów — jedno prawo: prawo siły.

Kto chce się w tej nowej zawierusze ostać, nie w hasłach moralności i humanitaryzmu znajdzie tarczę i ostoją; sile siłę przeciwstawić trzeba!

Na drodze tego wichru, w oku cyklonu historii — znalazła się dziś Polska.

Jak wyspa samotna na wichru pęd straszliwy wystawiona, jak skała granitowa stercząca wśród kipieli oceanu — spokojna i mocna, trwała i niewzruszona — Ona, o którą przez wieki rozbijały się fale hord Tamerlana i jego następców spod znaku półksiężyca, Ona, która wytrzymała napór żelaznych szeregów krzyżowego Zakonu, Ona, której bytu nie podciął sierp, nie skruszył młot Czerwonego Wschodu — dziś, wyłoniona z fal najazdu zaborców trwa znów niezłomnie, gotowa, mocna, czynna.

Orzeł Biały, co uwił na szczycie tej skały swe gniazdo, ostrzy swe szpony i żaden wicher nie połamie mu jak ongiś skrzydeł, nie poniesie na nową tułaczkę i niedolę.

Naród zjednoczył się oto, w jeden rytm sprzągł swój wysiłek, jedno wobec wroga znalazł oblicze. Oblicze bez trwogi, oblicze mocy.

Tętni i pobrzmiewa dziś pracą cała Polska — pracą dla chleba, pracą dla pokoju, ale i pracą dla oręża.

Zielenią się łany zbóż, łomoce kilofami górników Śląsk, zgrzyta dźwigami portowymi Gdynia — ale huczy też pracą Stalowa Wola, by dłoń od kosy, kilofa i kranu, gdy zajdzie tego potrzeba, mocnym ujęciem chwyciła broń na wroga.

Jest Polska niewątpliwie wyspą wśród odmętów — ale dziś wyspą z jednego odłamu granitu, zjednoczona ideą obrony niepodległego bytu, okrzepła jedną wolą

Ale prócz narodu na polskiej żyjącego ziemi, jest jeszcze wielu jego synów, którzy jak ziarna piasku prądem i wiatrami zaniesione w różne świata strony żyją nieraz samotnie, zdala

od swoich, od ojczyzny, wśród obcych, nieraz wśród wrogów.

A jest ich nie byle jaka rzesza — z górą osiem milionów.

O nich to dziś chcę pisać. Bo oni, to ta druga Polska, która jest wszędzie — i tuż za kordonem, i w zaoceanicznym Nowym Świecie — i na rozległych przestrzeniach Azji, w Afryce, Australii — na wyspach i kontynentach — na morzach i lądach — w portach, fabrykach, warsztatach, plantacjach, biurach, ulicach całego świata...

Dziś, gdy daleka przestrzenią a bliska sercu Polska wzywa do pracy, wszyscy ponad szarzyznę codziennych prac podnoszą głowy i stwierdzają krótko: myśmy gotowi!

Gdy wybije godzina, gdy zapłoną wici, wszyscy na zew pośpieszą.

Śpieszą już dziś — jeszcze nie z danią krwi, danią życia — bo tego jeszcze Ojczyzna nie żąda, ale z danią skromnego mienia, z grosiwem ciężką pracą zdobytym. Na Obronę Narodową, na mocarne skrzydła dla Orła Białego, na polskie żelazne ptaki, co gdy przyjdzie potrzeba, runą na wroga.

Bywało — w ciężkim, znojnym trudzie, w zawziętej walce o zwykłe ludzkie bytowanie ten i ów zapominał o swej polskości, o dalekiej Ojczyźnie, w której mu miejsca nie stało, której, zda się, był niepotrzebny.

Teraz — gdy wszystkie polskie serca i dłonie są Jej potrzebne, prostują się grzbiety, podnoszą w górę głowy, zaciskają pięści — na wargi wypływają polskie, nieraz już zapomniane słowa...

Dzieje się to różnie. U jednych, dzień po dniu rośnie świadomość wspólności krwi i współodpowiedzialności za losy Polski i wreszcie, któregoś dnia stają w ogonku przed polskim konsulatem, przed redakcją ojczystego na wychodźtwie pisma, nieraz przed izbą polskiego zrzeszenia lub po prostu w mieszkaniu u jednego z rodaków — i dają, co mogą. Różne monety, różnej wartości, jak różne są kraje, w których żyją, jak różna dola, która jest ich udziałem.

Ale w każdym dźwięku monety, w każdym szeleście banknotu, usłyszysz jedno nieomylnie — rytm polskiego serca.

A czasem ta polskość budzi się i manifestuje jakoś dziwnie i nieoczekiwanie... rośnie, potężnieje, porywa drugich — nawet, wierzyć się nie chce — obcych!...

Któregoś dnia siedziałem w ciemnej sali kinowej jednego z przedmieść robotniczych Paryża. Na ekranie przesuwają się dodatki z całego świata, — Ameryki, Francji, Anglii, Włoch, Niemiec... te ostatnie, zwłaszcza manifestacje niemieckiego oręża, wywołują gwizdy, bo francuska publiczność, zarówno z przedmieść jak i ta z centrum stolicy Francji, reaguje bezpośrednio i żywo — a potem... potem idzie obszerny dodatek z Polski. Wykresy, cyfry, mapy dawnego Pomorza, potem miasta, wsie, ludzie... Mimo mroku na sali czyje się jakiś powiew sympatii... oto zachwyca wzrok Gdynia, las kominów Śląska — oto maszeruje młodzież — harcerze - żeglarze w białych mundurach na polskim wybrzeżu rozśpiewani, pogodni — oto strzelczynie z oberkiem na ustach dziarskim i skocznym, oto dzieciarnia szkolna rozbawiona... A potem wojsko... Za krtań coś ściska: dwaj ludzie, dwaj wodzowie w zwarciu braterskim żołnierskich dłoni Foch i Piłsudski. Dwaj Marszałkowie Polski. Wokół nich prezentują broń szeregi czasu Wielkiej Wojny...

A potem Armia Polska. Ta obecna, dzisiejsza. Dudni rytm nóg piechoty na defiladzie w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. w powietrzu krążą samoloty lecą jak ptaki kluczami, grzmi w polu artyleria, klekocą maszynowe karabiny...

Na sali raz po raz zrywają się oklaski. Wszak to sojusznicza armia... To Francja nad Wisłą. Aż oto nagle spod lasu zerwał się wicher, — nie wicher, — burza — nie burza —grzmi jak grom — świeci jak błyskawica!... To szarża polskiej kawalerii! To szable świecą, to grzmi pod kopytami ziemia!...

Ryk głośnika głuszą oklaski widowni — to cieszą się Francuzi — ale oto nagle głośniejszy niż głośnik, głośniejszy niż oklaski rozlega się okrzyk: „M y s o m P o l a c y ! M y s i ę n i k o m u n i e d a m y !...“

To jakiś Mazur, który może kiedyś służył w ułanach, a może, może kiedyś tylko jego dziad — gdy ujrzał polską konnicę, w galopie, w pędzie, w słynnej polskiej szarży — nie wytrzymał — musiał krzyczeć. Obudziło się w nim polskie serce.

Nie rozumieli Francuzi co chciał powiedzieć, ale odpowiedzieli mu najszczerzej i najprościej a z entuzjazmem: Vive la Pologne!... Niech żyje Polska!...

W kilka dni później, w ciasnym zaułku w jednym z północnych portów Francji widzę rozpycha się jakiś matros ogorzały od słońca i wiatrów i marynarskim dialektem, na który złożyły się słowa wszystkich niemal nad morzami żyjących narodów wypytuje, gdzie tu mieszka, bo słyszał o nim — polski konsul honorowy. Parę słów rzuconych po polsku toruje mi doń drogę.

„J a ź l e m ó w i ć p o l s k u. J a b e l g i j s k i o b y w a t e l, t e r a z p ł y w a m n a b r a z y l i j s k i m s t a t k u. W P o l s c e j a n i g d y n i e b y ł. **T e r a z P o l s k a b ę d z i e s i ę b i ć. J a c h c ę**

dać na aviony*). Ja czytał w angielskim żurnalu**)...

Zdania krótkie, nie gramatycznie zbudowane, dużo obcych wyrazów — ale jakże polskie, jak szczerze, głęboko polskie. Bo w tym belgijskim marynarzu, na brazylijskim statku, we francuskim porcie odezwało się serce polskie.

Potem, w małym portowym „bistrot"***) przy szklance wina rozmowa o Polsce, o „avionach", o polskiej flocie, o marynarzach, o Polakach po świecie....

Yes. Dużo nas. Tylko się nie trzymamy kupy. Polaków wszędzie można spotkać. I na różnych statkach sporo ich pływa... Szkoda, że polska flota jeszcze taka mała.

Mój rozmówca staje się coraz szczerszy, coraz rozmowniejszy, przechodzi od rzeczy ogólniejszych do własnych przeżyć i odczuć.

Bywało — ciągnie opowieść — człowiek nie przyznawał się, że Polak. Bo po świecie nie wiedzą co to za kraj, gdzie jest i ile znaczy. Jak powiem, żem Belg, to wiedzą. Ale teraz zaczyna być inaczej. Coraz więcej banderę naszą widać.

Awiony polskie też są sławne.

A teraz, kiedy Niemcy chcą zawojować świat, i już nie jednych zawojowali, jedna Polska się ich nie boi. **Bo nasza Ojczyzna jest wielka.** Bo my wszyscy, rozrzuceni po świecie, wrócimy gdy zawoła i życie damy. Świat wie o tym. I dlatego Anglia się z nami sprzymierza. Dlatego Ameryka na nas patrzy — i świat cały.

Teraz słowo: Polak — więcej znaczy.

A kiedy teraz wśród obcych chodzę, to tak, jakbym miał bary dwa razy szersze i w garściach dwa razy więcej siły.

I matrosy mnie szanują...

Yes. Polska jest wielka!...

Proste były słowa tego marynarza, prymitywne odczuwanie wielkości Polski, ale jakże słuszne, jak trafne.

Bo wielkość Polski, to nie tylko jej wartości materialne, jej ziemia, lasy, kopalnie, flota, wojsko — wielkość Polski, to duch który ożywia cały naród, to ten niewyczerpany potencjał woli i mocy, który u nas wszystkich tkwi, który nam w ciężkich chwilach mimo przemocy wroga daje zwycięstwo.

Nami nie powoduje zawiść, żądza cudzego, w nas nie tkwi instynkt łupieżcy.

A w pieśni naszej nie brzmi pruska buta, żeśmy „ponad wszystkimi" — nasza pieśń głosi, iż „Duch będzie nam hetmanił".

Dziś — gdy nadszedł czas próby — moc tego Ducha czują wszyscy, po świecie rozproszeni synowie Polski, czuje ją świat cały.

**Bronisław Miazgowski**

*) Po fransusku — samoloty. **) Dziennik. ***) Po francusku bar.

# GDAŃSK

Na tle ostatnich wydarzeń europejskich i chęci Niemiec zniszczenia wszelkich śladów traktatu wersalskiego, odbija się wyraźnie sprawa pretensyj niemieckich do Polski. W pamiętnej swej mowie z dnia 28 kwietnia, kanclerz Hitler wyraził się tymi mniej więcej słowy: „Gdańsk jest miastem niemieckim i pragnie powrócić do Rzeszy".

Znamy odpowiedź polską na te żądania. „Gdańsk nie został wymyślony w traktacie wersalskim — a od Bałtyku odepchnąć się nie damy".

Sprawę żądań niemieckich należy przedstawić sobie wyraźnie.

Przyznajemy, iż w Gdańsku mieszka około 300.000 Niemców. Nie chcemy bynajmniej zmieniać rzeczywistości, ani też odmawiać istnienia owych setek tysięcy Niemców. Nie! Chodzi nam o coś zupełnie innego. Oto Gdańsk nie jest miastem niemieckim w takim znaczeniu, jakie pragnie mu nadać Kanclerz Rzeszy. A zwłaszcza nie jest hitlerowskim.

Skąd te insynuacje — zapytał by niejeden śmiałek z tchnących butą oddziałów hitlerowskich. W dniu 1 maja 1939 władze administracyjne kazały wywiesić w Gdańsku — swastyki. O herbie gdańskim — dwóch koronach z krzyżem, nawet mowy nie było. I dlatego prawdziwi gdańszczanie zżymali się i złościli. Niestety! Trzeba to było robić cicho, bo za wszelkiego rodzaju fochy jest jedna nagroda... obóz koncentracyjny.

Stąd ów wniosek! Nie gdańszczanie bowiem chcą „powrotu" do Rzeszy, lecz przyłączenia wylotu Wisły pragną różni gauleiterzy.

Wiedzą oni, że przez Gdańsk przecho-




dzi czterdzieści kilka procent naszego obrotu w handlu zamorskim, zatem włączenie Gdańska do Rzeszy zepchnie go do mało znaczących portów na Bałtyku.

Ale, jeśli gdańszczanie nie chcą „powracać" do Rzeszy, a Gdańsk jest naszym najżywotniejszym punktem — to honor nasz nie pozwala na to, by obcy wyciągali ręce po to, co tradycją i energią polskich sił pulsuje. Dwukrotnie oznaczyliśmy cudzysłowem wyraz „powrócić".

Krótki rys historyczny pozwoli nam jeszcze dokładniej stwierdzić, że „powrót" jest wyrazem bez sensu.

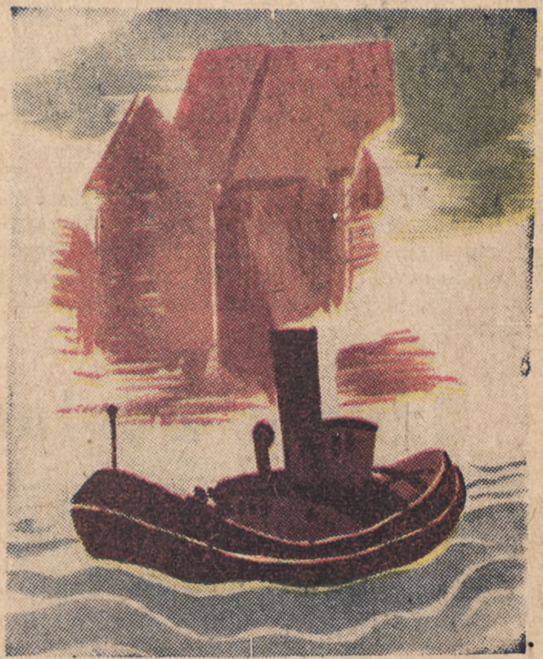
Pierwsze wieści o Gdańsku pochodzą z 10-go wieku. Był on wtedy niewielką osadą zamieszkałą przez ludność słowiańską. Przez długi czas jest stolicą książąt pomorskich, a ostatni z nich Mestwin II oddaje całe Pomorze wraz z Gdańskiem Przemysławowi, księciu Wielkopolski. W XIII wieku zagnieżdżają się w Malborgu sprowadzeni do walki, a raczej do nawracania wschodnich Prusaków — Krzyżacy. Łącząc z nawracaniem na chrześcijaństwo metodę podbojów, grabieży i gwałtu, szybko wyniszczają oni lub też niemczą bitne pruskie plemię.

Chcąc pozostać na stałe, Krzyżacy starają się o zdobycie wpływów nad Gdańskiem. Dokonywują tego swoistą metodą: podstępem wymordowują 10.000 bezbronnych Kaszubów i sprowadzają na ich miejsce kupców niemieckich. Ciągłe zaczepki ze strony Zakonu kończą się jego straszliwą porażką i klęską w bitwie pod Grunwaldem.

Niestety, zwycięstwo to nie zostało racjonalnie wykorzystane i wojska polskie tylko krótki czas przebywają w Gdańsku. W rok później jednak Gdańsk znowu zajęty zostaje przez Krzyżaków. Jak dalece jednak wyrosły w tym czasie antagonizmy, może świadczyć bunt gdańszczan w r. 1454. Posłowie i sam burmistrz jadą wówczas do Kazimierza Jagiellończyka i proszą go o niezwłoczne roztoczenie opieki nad Gdańskiem i Pomorzem. Opowiadają też o szczegółach buntu z lutego 1454 r. Oto przerażeni i rozwścieczeni ciągłymi szykanami ze strony Krzyżaków, gdańszczanie napadają na zamek krzyżacki, burzą go i niszczą.

Pamiętnego dnia 9 marca tegoż roku król Kazimierz Jagiellończyk wydaje dokument, który stwierdza przyłączenie Prus wraz z Gdańskiem do Polski. Po wojnie trzynastoletniej (1453—1466), w której gdańszczanie pomagają królowi polskiemu składaniem wielkich dobrowolnych ofiar pieniężnych, Gdańsk otrzymuje specjalne przywileje, jak: własne sądy, mennica z prawem pobierania cła, własne wojsko i flotę. Wszystko to składa się na fakt, że Gdańsk stał się wolnym miastem, złączonym z Polską unią personalną, która wymagała uznania każdego polskiego króla za swego zwierzchnika.

Od tego czasu aż do II-go rozbioru Polski (1793 r.), Gdańsk jako Wolne Miasto należy niepodzielnie do swej macierzy. Swym patriotyzmem dał Gdańsk liczne dowody przywiązania do Polski. W czasie zalewu Rzeczypospolitej przez wojska szwedzkie, nie poddał się im jedynie (na Pomorzu) Gdańsk, wytrzymując bohatersko długie oblężenie. Równolegle do tych stosunków rozwija się handel, a stąd powstaje



bogactwo Gdańska. Jest on bowiem jedynym punktem, przez który przepływają transporty polskiego drzewa, żyta i pszenicy. Bezwzględnie — cały swój rozwój gospodarczy zawdzięcza Gdańsk Polsce i przyjaźni z nią.

Po rozbiorze Polski rozpoczynają się ciężkie dla Gdańska czasy. Rząd pruski odbiera miastu autonomię, przywileje, a Gdańsk wyzbywa się swych bogactw. W r. 1807 Niemcy zostają wypędzeni przez bohaterskie wojska francuskie, a na podstawie pokoju w Tylży, Gdańsk zostaje znów jako Wolne Miasto oddany pod wspólną opiekę królów pruskiego i saskiego (ten ostatni był księciem warszawskim).

Bezpośrednio po Kongresie Wiedeńskim Gdańsk znowu dostaje się Prusom. I taki stan rzeczy trwa 104 lata.

Dopiero Traktat Wersalski w r. 1919 uporządkowuje sprawy. Gdańsk staje się ponownie Wolnym Miastem, związanym ściśle z Polską. Leżąc wewnątrz granic celnych Rzeczypospolitej, zatrzymuje jednak swe przywileje: senat, policję, pieniądz, odrębną reprezentację w Lidze Narodów.

Równocześnie zaczyna się wspaniały rozwój gospodarczy Gdańska.

Jeżeli bowiem w r. 1912 obrót towarowy w. m. Gdańska wynosił 1.963.805 ton, to w r. 1924 — 2.283.033 ton, a w r. 1928 — 8.071.836 t.

Nowozbudowany port Gdynia osiąga w r. 1928 — 1.958.000 ton. Od tej chwili obroty Gdańska zmniejszają się nieco. Jest to zresztą nie tylko wynikiem rozładowania całego potencjału Polski na 2 porty, lecz także i kryzysu. W r. 1936 — obroty w. m. Gdańska wynoszą 6.586.708 ton, a w r. 1937 — 8.060.807 ton.

Gdańsk jednak w dalszym ciągu obsługuje handel zagraniczny Polski i wbrew pesymistom lub obcym uzurpatorom, obsługiwać go będzie nadal.

90 procent obrotu w. m. Gdańska to towary pochodzące z Polski lub sprowadzane do Polski. Udział zagranicy w obrotach Gdańska wynosi zaledwie 10 proc. lub nie wiele więcej. W świetle tych cyfr śmiesznymi się wydają twierdzenia, jakoby Gdańsk chciał „powrócić" do Rzeszy.

Ewolucja i długi czas przebywania pod rządami pruskimi wywarły wpływ na kulturę i język gdańszczan. Rozumiemy to i język niemiecki w Gdańsku uszanujemy, czego daliśmy dowody w ciągu ostatniego 20-lecia. Chcemy jednak, by cały świat, a przede wszystkim ci, co nieopatrznie „zażądali", uszanowali nasze i samego Gdańska żywotne interesy.

Zespolenie Gdańska, jako wylotu polskiej rzeki na polskie morze z Polską jest faktem i rzeczywistością — o żadnych zmianach nad Polskim Bałtykiem mowy być nie może. Sprawa ta została należycie wyjaśniona raz na zawsze!

Odległość od Gdyni do Gdańska jest niewielka (coś ponad 15 km), po uruchomieniu naszego COP-u przestrzeń ta zostanie zabudowana molami i urządzeniami portowymi, tworząc jeden z największych portów nie tylko w Europie, lecz i w świecie. Będzie to łączny port Gdynia — Gdańsk o obrotach dochodzących do 25 milionów ton. Wiemy o tym dobrze, że tak jak dziś i wtedy będziemy mieć swobodę na Bałtyku.

Świadomość ta nigdy nie zmieni nas w demagogów lub uzurpatorów. Znamy dobrze rzeczywistość — lecz nie damy się powodować egoizmem.

A rzeczywistość stwierdza — Gdańsk jest miastem wolnym, żyjącym od setek lat na łonie Polski, czerpiącym z niej soki i życie. Gdańsk jest związany z Polską i leży nad Bałtykiem, na którym nie zniesiemy żadnej przemocy i niezdrowej supremacji, bo Bałtyk jest „obszarem życiowym" wszystkich 8 państw, z których każde zapewne chce żyć w spokoju i przyjaźni z innymi narodami.

Lecz gdyby ktokolwiek kiedy zechciał nas odepchnąć od tego morza, nad którym byliśmy już tysiąc lat temu lub odebrać nam port, który jest nam potrzebny i któremu my jesteśmy potrzebni — ten niech wie o tym, iż na to nie pozwoli — nasz honor!

W proch zetrzemy każdego, którzyby zechciał nam odebrać chociaż jedną piędź ziemi. A zgodnie z refrenem ukochanej pieśni, stwierdzamy to przyrzeczeniem: Tak nam dopomóż Bóg!

**Stanisław Lipski**

# Szkoła Żeglugi Śródlądowej

Starą jest prawdą i ogólnie znaną, że transport wodą jest wielokrotnie tańszy od transportu koleją, czy jakimkolwiek innym lądowym środkiem komunikacyjnym. Aby jednak w pełni wykorzystać dobrodziejstwo dróg wodnych, muszą być spełnione trzy zasadnicze warunki: trzeba mieć wody uregulowane, odpowiedni tabor i oczywiście wykwalifikowanych ludzi, którzyby tym taborem kierowali. Nasze rzeki i jeziora nie są jeszcze dostatecznie wyzyskane. Zaledwie dwa tysiące siedemset kilometrów nadaje się do żeglugi. Również niezbyt dobrze przedstawia się kwestia taboru. Nasze statki śródlądowe są na ogół dość stare. Dobor żeglugowy i oczywiście wykwalifikowa-



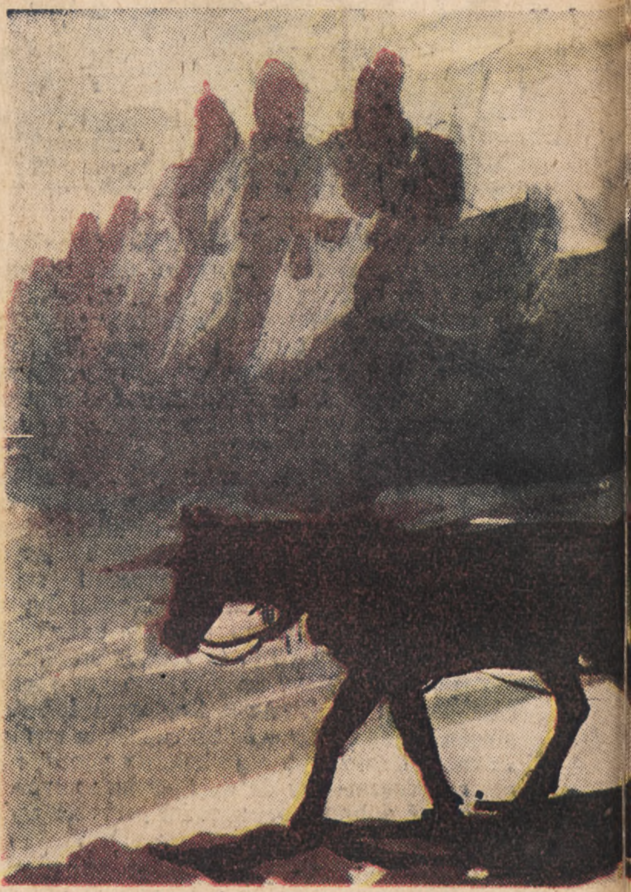
tychczas statkami tymi kierowali ludzie, którzy posiadali wprawdzie zazwyczaj duże doświadczenie i wieloletnią często praktykę, brakowało im jednak wykształcenia teoretycznego, zarówno ogólnego, jak i fachowego. Dążąc do podniesienia poziomu personelu pływającego, Liga Morska wraz ze Związkiem Żeglugowców zorganizowała w r. 1935 kurs, obejmujący czterdzieści pięć godzin wykładów, przeznaczonych dla kapitanów statków rzecznych. Kursy takie miały się potym odbywać co pewien okres czasu. Wyłoniona celem organizacji kursów komisja doszła wkrótce do wniosku, że bez porównania celowszym byłoby uruchomienie szkoły, w której uczyliby się młodzi chłopcy. W roku następnym ministerstwo oświaty zatwierdziło program i pierwsza szkoła żeglugi śródlądowej została uruchomiona przy wydatnym poparciu Ligi Morskiej i Związku Żeglugowców. Jako placówka pionierska musiała szkoła ta zwalczać liczne trudności. Nie było bowiem zupełnie polskich podręczników do działów fachowych, nie łatwo też dobrano odpowiedni personel wykładowców.

Organizacja Szkoły Żeglugi Śródlądowej jest nieco zbliżona do Szkoły Morskiej w Gdyni, ma więc dwa zasadnicze działy: nawigacyjny i mechaniczny. Przychodzą tu uczniowie z ukończonoymi siedmioma oddziałami szkoły powszechnej, w wieku od lat piętnastu do osiemnastu. Przyjmowani są tylko chłopcy zupełnie zdrowi, którzy ponadto przechodzą badania psychotechniczne, sprawdzające ich ogólną inteligencję, a przedede wszystkim szybkość reakcji na zjawiska niespodziewane. Wykłady teoretyczne odbywają się tylko w okresie zimowym. Całe lato jest poświęcone praktykom. Już po pierwszym roku uczniowie działu nawigacyjnego spędzają lato na statkach rzecznych w charakterze zwykłych marynarzy pokładowych. Uczniowie działu mechanicznego praktykują nie tylko na statkach, ale również w fabrykach i dużych warsztatach. Program szkoły jest dość obszerny i dużo trzeba pracować, aby się w ciągu trzech lat wszystkiego nauczyć, prócz bowiem przedmiotów ogólnych, takich jak: język polski, historia, matematyka, fizyka, jest też cały szereg przedmiotów specjalnych. I tak uczniowie wydziału nawigacyjnego mają wykłady dotyczące meteorologii, hydrografii, urządzeń pokładowych, taboru żeglugowego, locji, prowadzenia statków, a poza tym muszą doskonale znać ustawodawstwo wodne i operacje przewozowe. Ci zaś, którzy wydział mechaniczny studiują, mają wykłady z technologii, maszynoznawstwa i znajomości kotłów parowych. Ze względu na brak odpowiedniego lokalu, wykłady odbywają się po południu. W szkole panuje rygor wojskowy, chodzi bowiem o to, aby ci ludzie, którzy w przyszłości mają rozkazywać, nauczyli się sami słuchać. Gdy wykładowca wchodzi do klasy, dyżurny uczeń daje komendę „baczność", po czym melduje stan klasy. Kilkakrotnie w ciągu dnia szkolnego odbywają się ogólne zbiórki, na które uczniowie stają nadzwyczaj szybko i sprawnie. Zewnętrznie przedstawiają się oni bardzo dodatnio. Wszyscy silni, zgrabni, opaleni, doskonale wyglądają w swych granatowych marynarskich mundurach. W tym roku kończy się pierwszy trzyletni okres i pierwsi uczniowie będą zdawali końcowy egzamin państwowy. Po zaliczeniu przewidzianej ilości praktyk i po zdaniu egzaminu końcowego, otrzymują oni prawo samodzielnego prowadzenia statków o napędzie mechanicznym po wszystkich wodach śródlądowych. Praca kapitana statku śródlądowego nie jest wcale łatwa. Wprawdzie na rzekach nie ma sztormów, grożących zatopieniem i zawsze według brzegów można ustalić gdzie się statek znajduje, ale za to rzeki nasze nie wszędzie są uregulowane, nurt często się zmienia, niespodziewanie wystają z wody płycizny i mielizny. Trzeba więc żeglować bardzo umiejętnie. Szczególnie trudne jest prowadzenie tak zwanych pociągów holowniczych, czyli szeregu naładowanych towarem barek, które ciągnie holownik. Jeszcze, gdy się płynie pod prąd, jest to łatwiejsze, bo zatrzymanie holownika powoduje zatrzymanie się barek, ale w czasie jazdy z biegiem rzeki, cały taki pociąg spływa niepowstrzymanie. Miejmy jednak nadzieję, że nasi żeglarze dadzą sobie radę ze wszystkimi trudnościami.

*(Dalszy ciąg na stronie 10-ej)*



# MIĘDZY WISŁĄ



W widłach Wisły i Nogatu leży wieś Piekło, którą Niemcy po swojemu przechrzcili na Pieckel, założona ponoć przed laty przez polskich flisaków, którzy płynąc z drzewem do Gdańska, tutaj mieli miejsce dłuższego postoju. Wieś od niepamiętnych czasów była czysto polska Nazwano ją Piekłem od gwałtownego nurtu wiślanego, który ongiś, gdy Wisła na tym odcinku nie była jeszcze rzeką uregulowaną, wiele szkut i ładownych pochłonął galarów. Względy geograficzne sprawiły, że Piekło w dobie wykrawania nowych granic przez twórców wersalskiego traktatu, przyłączono do Wolnego Miasta, które nieco dalej na Południe styka się równocześnie z granicą Rzeczypospolitej i Prus Wschodnich. Tam też, poraz pierwszy i ostatni, Wisła przestaje być rzeką polską, a staje się gdańską. Niektórzy lokalni „uczeni" twierdzą, że tak jest już od lat 5.000. My mamy pod tym względem poważne wątpliwości.

Byłem kilka razy w Piekle. Aby dostać się do tego zapadłego kąta, trzeba zboczyć z dobrej gdańskiej szosy wiodącej do Malborga, kołować bocznym traktem, polnymi drogami. Od najbliższej stacji kolejowej dzieli Piekło dobrych kilkanaście kilometrów. Najwygodniejsza droga do Gdańska wiedzie przez Tczew.

Ludność Piekła jest polska. Świadczą o tym rdzennie polskie nazwiska mieszkańców, świadczy piękna polska, nieznacznie jedynie skażona germanizmami ich mowa. Jednak i tutaj, jak wszędzie zresztą na terenie Wolnego Miasta, gdzie istnieją znaczniejsze skupiska polskie, trwa od lat zaciekły, nieustanny nacisk germanizacyjny. Wmawia się w ludzi, że są oni „spolonizowanymi" Niemcami, tłumaczy się im, że winni oni porzucić mowę i wiarę ojców, wyprzeć się swego Narodu. Więc ten i ów, człek słabszego ducha wystąpi z organizacji polskich, dzieci przepisał do niemieckiej szkoły, w brunatnym paraduje mundurze. Dziwnie nie pasuje ten bojowy uniform do wąsatego, łagodnego oblicza polskiego chłopa. Ale pozdrawiają się niemieckim pozdrowieniem, bacząc pilnie, aby się nie zapomnieć i przy obcym, jak zwykle, do baby czy dzieci po polsku nie przemówić. A jak nikt nie baczy to spotkanego rodaka pocichu starym „pochwalony!" witają.

Jednak nieliczni ulegli. Jeszcze jest w Piekle wielu, którzy mówią o sobie, że są Polakami. do polskich należą związków. Ciężkie przechodzą oni koleje. To im się próbuje zabrać ze względów, rzecz prosta, „higienicznych", mieszkania, to cofa dzierżawy od lat uprawianych skrawków ziemi, dzieci nie puszcza na naukę rzemiosła do miasta. Wilkiem patrzą na nich sołtys, żandarm czy miejscowi dygnitarze partyjni, w prostocie ducha ani rusz nie mogący zrozumieć, że jest ktoś, kto lekkomyślnie nie chce się przyłączyć do wielkiego narodu niemieckiego, mimo, że ten naród chce go wspaniałomyślnie przytulić do łona. Bywało już różnie w Piekle. Dochodziło do bitki, wylatywały szyby w polskich chałupach. Ale to są epizody. Walka niewidoczna, uparta toczy się w duszach ludzkich.

Gdyby nie praca w letnich miesiącach przy kolei lub w Radzie Portu, przy wodnych robotach, do których zarówno Polaków, jak i Niemców biorą, nie ostaliby się chyba Polacy w Piekle. Bo gdzieżby tam Niemiec Po-

# I NOGATEM



lakowi dał robotę? Zresztą gdyby nawet chciał to uczynić, nie może, bo partia nie zezwoli. A wiadomo co znaczy w Gdańsku zadarcie z wszechwładną partią... Więc polscy ludzie w Piekle żyją zimą z tego, co zarobią latem. Aby przetrwać...

Istnieje w Piekle komórka partii narodowo-socjalistycznej, rozumie się grupa SA, Niemiecki Front Pracy, „Hitler-Jugend", „Bund Deutscher Mädel" itd. Widziałem kiedyś te „Niemki" jak w czasie polskiego uroczystego nabożeństwa w miejscowym kościele, maszerowały półnago w kostiumach gimnastycznych drogą, głośno śpiewając. I tak się pomieszało nasze „Boże coś Polskę" z tą ich wojowniczą piosenką. Nie ich wina. Widać ktoś dowcipny kazał im urządzić taką „patriotyczną" demonstrację. Można i tak, bywają różne metody.

Najpiękniejsza jest w Piekle polska szkoła, wielki murowany budynek, na uboczu, zdala od wsi, w szczerym polu, stojący. Zbudowała go zapobiegliwa Macierz Szkolna, od lat już czuwająca nad polskością dzieci polskich na Ziemi Gdańskiej. Wiele było z tą szkołą trudu i mozołu. Ale po bardzo długich targach, władze gdańskie, krzywym okiem patrzące na każdy nowy polski budynek szkolny, tym razem ustąpiły. Odbyło się bez odmowy przewłaszczenia, wykorzystania prawa pierwokupu przez gminę, zastrzeżeń inspekcji budowlanej, słowem stu i jednej możliwości szykan, skwapliwie wykorzystywanych wszędzie tam, gdzie ma powstać choćby najskromniejszy, polski ośrodek oświatowy, groźba widoma dla „niemieckiego charakteru od lat 5.000" Gdańska.

Przy szkole, do której uczęszcza niecałe trzydzieści dzieci, jest ochronka dla najmłodszych, w której gospodarzą siostry-Dominikanki. W obszernym budynku szkolnym odbywają się wieczorami próby chóru, zbierają się organizacje. Ludzie przychodzą licznie w długie zimowe wieczory, aby pogwarzyć o niekończących się troskach, o kłopotach, o swej ciężkiej doli...

Za szerokim wałem milczy Wisła, zapadła w sen zimowy, czekająca na pierwsze promienie wiosennego słońca. Chłodne mgły kłębią się nad polami...

Za Wisłą jest Polska, za Nogatem Prusy. Tutaj w Piekle — małej wiosce, wciśniętej między dwa kraje, dwie graniczne miedze, waży się szala. Zduszona polskość, zaprzątnięta niekończącą się walką o swe istnienie, przecie trwa, przecie ma rumieńce życia, broni dzieci, śpiewa polskie pieśni, czasem słaba, wyczerpana do cna, czasem nieugięta, bohaterska, dziś, tak jak przed laty pięciuset, wytrwała...

Rozsiadły się wzdłuż drogi chałupy... Ciemny dym bije z komina wysokim słupem. Gwarzą ludzie po swojemu; między polskie zdania, obce wtrącając słowa, ludzie poważni, zamyśleni, zafrasowani... Od Wisły znów ciągnie mgła, biała, szczelna, puszysta. W mgle toną zarysy murowanej, solidnej polskiej szkoły...

Tak, nad Piekłem jest mgła, ciężka, duszna, przesiąknięta krzyżackim duchem. W oparach jej, jak jasne, czerwone płomienie ogniska, przebłyskują dusze polskie, wierne, kochające, niezłamane...

Pamiętajmy o nich! J. S.



Problem Wisły staje się coraz bardziej aktualny. Niedługo już przyjdzie chwila, kiedy ta największa i najważniejsza polska rzeka będzie uregulowana na całej długości i gdy w sieć kanałów europejskich wejdzie nowe połączenie Bałtyku z Morzem Czarnym. Wówczas będziemy już mieli dużą grupę wyszkolonych, pełnowartościowych żeglarzy i na wszystkich statkach rzecznych ujrzymy wychowanków tej potrzebnej i pożytecznej instytucji, jaką jest Szkoła Żeglugi Śródlądowej.

**Michał Sumiński**

# Na zielonej granicy

Wieś zwano: Grabinka. Wieś, jak wieś, nie odznaczała się niczym. Długi dwuszereg chat dzielił błotny gościniec o wyżartych koleinach. Za płotami zieleniły się sady, ogrody. Za okołem stodół rosła w oczach falująca zbożem niwa, aż ku ścianom leśnego wyrębu, za którą znów w oddali przycupła do ziemi inna, podobna wioska, z tą jedną różnicą, że kościelną wieżą znaczona.

Słowem, o Grabince nie byłoby co wiele mówić. Chyba jedno: — leżała bliżej niemieckiej granicy. A to miało nie bylejakie znaczenie w życiu Józka Pataraka. Obrazek to prawdziwy z tej krawędzi Pomorza, na którą dziś oczy wszystkich zwrócone.

Dwa lata temu stało się którejś niedzieli, że Józek do kościoła z ludźmi nie poszedł, choć dobrze wiedział, że jeśli nie sam Pan Bóg miłosierny, to jużci napewno Marta Kmicikówna będzie go z tęsknotą wyglądała, żeby z nim po sumie pogadać, w ślepia mu zajrzeć serdecznie i ściegiem gościńca do wsi zgodnie, szczęśliwie, jak tyle razy, z nim powrócić.

Tej niedzieli, jakby właśnie na opak, odwrócił się myślą Józek w inną stronę. W ogóle, od wiosny przeinaczyła mu się dusza. Tylko, że tego dnia opuścił go nawet i rozum. Nisko na oczy czapkę nacisnął i wymknął się od rana na brzozowy zagaj przy odludnych rozstajach — z widokiem na granicę. Nie bez przyczyny. W brzozowinie miał ważne spotkanie. Fryc Hase na niego czekał — przemytnik, Niemiec, człek wielkich czynów i cudownych marzeń.

— Więc jak? — zapytał go zaraz Fryc, gdy tylko na wiązce słomy przysiedli w zmyślnej kryjówce, wśród chaszczów, na ostrężynowym pagórku.

Józek rozwarł ręce i rzekł otwarcie:

— Pytałem we wsi co niektórych. Są tacy, co chcieliby...

— Ilu?

— Trzech mi przyrzekło.

— Gotowi-by pójść jutro?

Józek poskrobał się za uchem.

— Właśnie. W samej rzeczy, gotowi to oni są... Tylko, że jeszcze nie jutro.

— Bo głupi! — krzyknął Fryc i przeciągnął ręką po zarośniętej gębie, aż mu pod dłonią czarna szczecina zachrzęściła. Poprzez szpary placów wyjrzały bure jego źrenice, wpatrzone przenikliwie w parobczaka. — Głupi ludzie! — uciął raz jeszcze z gniewem Hase i zaklął szpetnie: — Niech siedzą na wsi! Niech ich bieda ściśnie, aż im oczy na wierzch wylizą!

— Nie chcą ryzykować...

— Bo się boją!... No, a ty?

Józek Patarak nie odpowiedział od razu. Patrzył za szczytami kęp krzaczastych, które po cienistej ziemi, po zarośniętych rozpadlinach i garbatych wykrotach, ciągnęły się w dal mglistą — na zachód. Z tamtej strony zielonej granicy, widniał świat ten sam co tutaj, a prze-

cież — jak to opowiadał Hase — inny, złotorodny, majętny, bogaty. Gdzie byś poszedł, wszędzie tam mogłeś dostać pracę. Człek pracujący, mógł podobno po jednym sezonie żniw pieniędzmi wypchać sobie kieszenie i śmiać się — śmiać się ze wszystkiego, jak prawdziwy pan.

Nieraz powiadał o tym Fryc Hase, bywalec łebski, doświadczony. Jakże mu było nie ufać! Ledwie go Józek na wiosnę tego roku poznał, jużci powziął do niego szacunek z samego podziwu. Wielu ludzi z okolic umiał on ciurkiem, mimo straży, przeprowadzić przez zieloną granicę u Grabinek. A pewno, że i w samej rzeczy trzeba mu było wierzyć. Toć nikt z „zielonych" w tym roku nie wrócił z tamtej strony widnokręgu. I stąd też widmo, że psiajucha Fryc Hase, miał rację... Tam był dopiero świat! Nie taki, jak ten w Grabinkach, na ciasnej ojcowiźnie.

A jednak coś piknęło Józka pod serce.

— Koniecznie jutro? — zapytał.

— Tak wypadło — odparł Hase. — Akuratnie zebrała się nowa partia. Kilkanaście chłopa będzie na przemyt. Nocą, przywiodą ich tu moi kumple. Pójdziesz, czy nie?

I wyciągnął rękę. Józek ujął podaną dłoń, ale jakoś niełatwo mu było puścić jej z garści. Ważyła ciężko.

— No? Pięć złotych mi dasz za cały siupas! — zaproponował Fryc. — Od ciebie nie chcę więcej. Otworzę ci za to cały świat... Będziesz mi całe życie dziękował. Więc?...

Józek zabrał do płuc powietrza. Trzymał je w piersiach całą mocą, jakby na dnie wezbranej głębiny. Aż nagle wyrzucił ze siebie z okrutnym wydechem:

— Co by nie było — pójdę! Zarobek mi się widzi, a jużci!... Tylko, że... w Grabinkach mam dziewuchę. Dlatego chcę zaraz po sezonie powrócić, i to tak samo — na zielono. Za zarobione pieniądze myślę gruntu trochę dokupić na ożenek. Czy przyrzekniesz mi — powrót? Dam ci z góry dziesięć złotych — w obie strony.

Fryc na to język rozpuścił, jak nigdy. Cuda prawił o raju w Niemczech, którego Józek dozna do syta, po dziurki od nosa. „Powiadam ci, bracie" — mówił — „że o powrocie ani myśleć nie będziesz!" Nie pozwolił mu dojść do słowa: „Szkoda umawiać się z góry, bo na co i po co?" Jak będzie mu się chciało wrócić, to wróci z łatwością. Oczywiście, przyrzekł mu pomoc. Ale nie o tym mówić teraz. Lepiej patrzeć na te góry złota, które na Józka czekają. I chłopcu się aż we łbie jęło przewracać od roztoczonych przed nim widoków szczęścia i bogactwa. Na worku pieniędzy siedział już w tej chwili, nie na zgniłej wiązce słomy.

— Byle ciebie, Fryc, strażnicy nie złapali do jutra! — rzekł na koniec półżartem.

Niemiec przy tych słowach pożegnania, aż się poderwał od śmiechu.

— Mnie? Mnie by mieli kiedy złapać? Kpiny! Czy nie wiesz bracie, że się Hase nazywam? A Hase to przecie — zając, po polsku. Niech kto złapie zająca w polu!... Hehehe... Do widzenia, Józek!... Jutro w tym samym miejscu!

II

Minęło lato. Dawno przeszły żniwa. I zima nadciągnęła. Daremnie jednak czekała w Grabinkach Marta Kmicikówna na pierwszy dzionek śnieżny. Takiego dnia właśnie obiecał jej Józek swój powrót szczęśliwy, triumfujący nad wszelkim niepokojem, troską, czy obawą. Żadną miarą nie chciała go puścić. A jednak — poszedł.

Kiedy stanął przed nią w ten dzień ostatni, zaklinała go na wszystkie świętości: „Nie chodź, ostań się!" Zęby tylko do niej wyszczerzył: „Toć to tylko na krótki sezon!" powiedział. Gdzie tam sezon!... Zapadła głęboka zima, wysoko zaspami napuchła, zaszkliła na mrozie. A potem nastała wiosenna odwilż na świecie i w sercu Marty. Płakała, wiele czasu przepłakała. Daremnie. Nie wrócił, nie dotrzymał obietnicy.

Z nową wiosną, nawet ptaki zleciały się z dalekich krajów, a od Józka bodaj jednego słowa z listem nie dostała. Zginął, przepadł. Zapomniał!... Czy prawdą było to ich wielkie kochanie? Tak zeszedł wreszcie cały rok w rozpaczy, w ciągłym oczekiwaniu, w jednej, długiej rozterce i straszliwym wstydzie. Bo ludzie się z niej w głos śmiali. Nawet ojcowie patrzyli na nią wilkiem. „Syna mi urzekłać!" „Uciekł od ciebie, boś mu była natrętnicą!" Żeby tylko takie słowa słyszała! Wszystkie dziewuchy drwiły z niej we wsi: „Co tam twój zielony Józek? Ziandary się o niego pytają!"

Zielony? Nie zielony!... Wrócił czarny, jak duch z piekła. A jednak wrócił. Kiedyś to było późną nocą. Do okna jej zapukał. Omal nie zemdlała ze strachu.

Cień to był sponiewierany, słaniający się — od głodu. „Józuś, to ty?" — szepnęła wtedy w oszołomieniu, bardziej z trwogi, niżli z radości. Jak złodziej, wrócił do wsi. Cichaczem, ukradkiem. Przykazał nie mówić o tym. Nikomu. Nawet ojcom, jej i swoim. Spotykali się odtąd potajemnie, daleko od ludzkich oczu, w polu, gdzie w miedzach sypiał, to znów na zrębie leśnym. Jak przykazał, nosiła mu jedzenie.

— Józuś, co to wszystko znaczy? Powiedzże! Przecieżem się tak stęskniła!

— Nie pytaj o nic. Przyjdzie czas, to się dowiesz.

— Żandarmów się boisz?

— Nie.

— A jakżeś się tu wrócił?

— Na „blindziarza". Przez Polskę na morzu.



Na statku. Gdyby się to nie udało, to bym chyba całkiem skapiał.

Nie dowiedziała się nic ponad to. Milczał. Zaciął się w sobie. Pary z gęby nie puścił. Tylko na ustach, blada kreska warg mu się ścięła w dusznej, piekącej zawziętości. Wyglądał, jak upiór. I jak upiór zginął jej znów nagle z oczu na czas dłuższy.

III

Józek Patarak miał teraz tylko jeden cel w swoim życiu: — zemścić się. Napróżno jednak szukał Fryca Hasego. Nie zastał go w znanej kryjówce w brzozowinie. Dybał więc na niego w promieniu kilkunastu kilometrów, po opłotkach, w kotlinach. Nie znalazł go nigdzie. Nawet w karczmach sąsiednich wiosek. „Szukaj zająca w polu!“ — mówili o nim ludzie. Hoho, dobrze go wszyscy znali. Nie raz widzieli go w okolicy. Tylko, że tu dziś, a tam jutro. Wiedziano, że jak zwykle zajmował się ludzkim i towarowym przemytem. „Pierwej złapiesz wiatr w polu, niż jego!“ — dorzucał przy tym każdy, kogo było o Fryca Hasego spytać. Nie na darmo się on ludziom przechwalał swym nazwiskiem.

Swoją drogą, Józek Patarak nie miał szczęścia.

Aż było to znów którejś niedzieli, gdy szedł wieczorem ku Grabinkom. Szarzało. Pachniała ziemia na przednówku. Szumiały drzewa. Zawsze tam Józka ciągnęło coś do rodzinnej wioski. Jakże w niej pragnął ukazać się jawnie, wszystkim ludziom! Niech by go nawet wzięli żandarmi! Ich prawo. Sam Józek zresztą zdawna był zdecydowany oddać się władzom pod sąd. Byle tylko pierwej móc dopełnić ślubu: — rozprawić się z Hasem.

Spojrzał teraz i westchnął. Mimowiednie znalazł się pobok brzozowiny. Rozchylił pierwsze krzaki i naraz — zdrętwiał, zmartwiał w miejscu.

Opodal, o kilkadziesiąt kroków na skraju zagajnika, tyłem do niego zwrócony, siedział na kamieniu Fryc. On, ten sam, nikt inny. Patrzył właśnie ku Grabinkom i ćmił fajkę, jakby nigdy nic.

— Tużeś mi, psiajucho!...

Z krzykiem go dopadł, ledwie Hase zdążył się odwrócić.

— Józek Patarak?! — wymamrotał w osłupieniu. Fajka wypadła mu z gęby.

Parobek w odpowiedzi zdzielił go pięścią między oczy. Cios był dobrze wymierzony. Przemytnik runął na ziemię. Józef Patarak tylko tyle potrzebował, aby mu skrępować ręce. Zdawna nosił powróz na szyję dla Hasego, teraz mu się sznur przydał niemniej korzystnie. Miał nareszcie w sidłach zająca.

Chwilę czekał, aż powieki otworzy, a wtedy mu w ślepia splunął.

— Masz, draniu! To za twój raj obiecany!... Do piekła, hyclu, nie będziesz już ludzi więcej namawiać! Ledwiem się stamtąd żywcem wydarł! Ledwiem tu z duszą uciekł z powrotem!.. Gdzie twoja prawda o cudach świata?!... W jarzmie, jak chabet koński pracowałem. I nie mam z tego nic! Nic! Nawet słowa dobrego w nagrodę! Choć charowałem prawdziwie rzetelnie. Straszono mnie tylko ciągle, że „zielony“, że nie mam papierów, żem pomiot roboczy, łazęga, że mi jedno tylko: trzymać pysk na kłódkę, bo mnie w kajdany wezmą, jak łotra zwykłego. Na to mi przyszło, że z kąta w kąt mnie wiecznie szczuto: „gdzoe twoje papiery?“ Com się nacierpiał!... Na dnie nędzy się wytarłem, — przez ciebie! Jak wielu, jak wszyscy „zieloni“. Już ta oni hurmem wróciliby z powrotem, gdyby się tylko dało... Czemuś mi o tym nie mówił, psi synu? Co?... Na gałęzi zato zadyndasz! Słyszysz? Tak-em postanowił. Będziesz wisiał!

I mówiąc to Józef Patarak jął motać pętlę u końca powroza, którym skrępował przemytnika. Trwało to dłuższą chwilę. Wykorzystał ją Hase i wymamrotał błagalnie:

— Daruj!... Przecie-żeś coś zarobić musiał. Przecie-żeś tylko dla pieniędzy poszedł....

Prawda, toć Józek Patarak tylko dla zarobku, tylko dla pieniędzy, zgodził się na tę całą tułaczkę. Ale przecie wszystkie pieniądze —

przejadł. Poprostu przejadł. I to w jaki sposób? Czy chociaż raz w Niemczech zakosztował masła? Wściekłość go ogarnęła.

— Żebyś wiedział, — wrzasną na całe gardło — com zarobił, tom wszystko musiał z głodu przeżreć. Z niemieckiego głodu! Rozumiesz! I tarmosząc Hasego za ramiona, huknął mu prosto w twarz: — Bodajbyś jak ja przez ten rok, przez całe życie żarł — margarynę!

— Puść mnie, dam ci pieniędzy ile chcesz. Tylko puść....

Chyba by go wtedy Patarak w rękach swoich na strzępy rozerwał. Ale się opamiętał. Już dowlókł Hasego pod najbliższe drzewo, gdy przeszła mu przez głowę myśl jasna, świetlista. Przecież się nie mścił jedynie za siebie, za swe pohańbione marzenia, za krzywdy doznane, za własną poniewierkę. I nie tylko mu szło o tę okrutnie wstrętną margarynę. O innych nagle pomyślał Patarak, o wszystkich ludziach, których Hase tak samo pomarnował wskroś zielonej granicy. I czy on jeden taki? A jego kumple? Hase musi ich wskazać! Iluż to głupców zmusili oni do przemytu! A iluż ludzi mogliby oni jeszcze pchnąć w przepaść jutro, pojutrze?... Coprawda, żal mu było odejść od tej pętli, zarzuconej już na szyję Hasego. Ale się przemógł. Spojrzał na Fryca kilka razy i rzekł wreszcie ze wzgardą:

— Szkoda dla ciebie w tej brzozowinie gałęzi. Najlepiej będzie, jak odpowiesz przed sądem. Niech się wyda wszystko. Niech całe twoje przemytnictwo djabli wezmą. Niech nas razem sądzą, — mnie, ciebie i twoich kumplów. Chodźmy!....

Tego wieczoru wkroczył Józef Patarak do wsi — jawnie, z głośną wrzawą, w dość przy tym niezwykły sposób. Oto, prowadził na postronku nieuchwytnego przemytnika Fryca Hasego. W najbliższym posterunku oddał się wraz z nim w ręce władzy.

Tym razem nie czekała długo Marta Kmicikówna na jego powrót do Grabinek. Józek Patarak wrócił do niej ten sam co kiedyś, dawniej, — z radością i szczęściem na twarzy.

Pobrali się. Dziś wcale nieźle im się powodzi w Grabinkach. Sądzę, że już przenigdy Józef Patarak wioski swej nie opuści. Sam mi o tym mówił, przysięgając solennie i przeklinając z całej duszy zieloną granicę i — niemiecką margarynę.

**Janusz Stępowski**

# O Pomorzu i rolnictwie pomorskim

Żadne z województw nie cieszy się taką sympatią najszerszych rzesz społeczeństwa polskiego, jak Pomorze. I nic dziwnego. Wszakże po przez ziemie województwa pomorskiego Polska posiada dostęp do morza, mający dla kraju wprost bezcenną wartość. Tam nad Bałtykiem znajduje się nasz wielki port gdyński, w zdumiewająco krótkim czasie powstały, wraz z rozrastającym się szybko miastem Gdynią, będącą chlubą Polski. Tam u ujścia Wisły leży stary Gdańsk, będący odwieczną naturalną bazą morską Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, której zawdzięcza swe istnienie i dobrobyt. Przez Pomorze płynie królowa rzek polskich — Wisła, będąca dogodną drogą wodną z głębi kraju do morza.

Nad Wisłą leży starożytny, piękny Toruń, rodzinne miasto Kopernika, obecnie stolica województwa pomorskiego. Nieopodal znajduje się Bydgoszcz, duże miasto handlowe i przemysłowe, mające połączenie kanałem wodnym z Wisłą. Z drugiej strony nad Wisłą leży stary gród kujawski — Włocławek, odwieczna stolica biskupia, a dalej ku północy, bliżej ujścia Wisły, leży Grudziądz, ludne i znacznie uprzemysłowione miasto pomorskie.

Pomorze pod względem ukształtowania terenu jest krainą urozmaiconą. Wzdłuż Wisły ciągną się przeważnie żyzne niziny. Ku północy, bliżej morza, teren jest falisty, pagórkowaty. Wśród wzgórz znajdują się liczne piękne jeziora. Tam, nieopodal od morza, leży przepiękna „Szwajcaria Kaszubska", mająca swoisty urok. Niezatarte pozostawia wrażenie Gaj Światopełka nad jeziorem Klasztornym tuż koło Kartuz, schludnego miasteczka powiatowego. Pośrodku województwa ciągną się szerokim pasem Bory Tucholskie, w ogóle zaś Pomorze jest krainą dość lesistą, lasy bowiem zajmują przeszło czwartą część całej powierzchni województwa.

Największym jednak skarbem Polski na Pomorzu jest jego ludność polska, która przetrwała zwycięsko wielowiekowy napór germanizmu, zachowując swą polskość. Tej bohaterskiej wytrwałości Pomorza Polska zawdzięcza dostęp do morza.

Województwo pomorskie do roku zeszłego zajmowało nieco ponad 16 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni, mieszkańców zaś według spisu z roku 1931-go liczyło 1 milion 86 tysięcy. Następnie po przyłączeniu do Pomorza czterech powiatów z województwa poznańskiego i czterech z województwa warszawskiego, powierzchnia Pomorza wzrosła do 25 przeszło kilometrów kwadratowych, a liczba mieszkańców dosięgła 1 miliona 875 tysięcy. Na kilometr kwadratowy przypada teraz 74 mieszkańców, podczas gdy przeciętnie dla całej Polski wynosi około 90 mieszkańców. Powiatów województwo pomorskie liczy obecnie 23 oraz 5 większych miast, wydzielonych jako powiaty grodzkie.

Pomorze, obok Wielkopolski, Śląska i wojew. krakowskiego, posiada stosunkowo największy odsetek ludności polskiej. Według spisu z roku 1931-go, ludność polska na Pomorzu stanowiła blisko 90 procent, podczas gdy ludności niemieckiej było niespełna 10 procent, a żydowskiej — tylko 0,2 procenta, czyli liczba zupełnie nikła. Ogółem ludności żydowskiej w całym województwie było około 2 tysięcy osób, a niemieckiej 106 tysięcy wobec 969 tysięcy ludności polskiej.

Ludności wiejskiej województwo pomorskie liczyło 732 tysiące, czyli około 70 procent, a miejskiej — 348 tysięcy, co czyni nieco ponad 30 procent. Liczby te świadczą o rolniczym charakterze Pomorza. W nowych granicach województwa pomorskiego największym miastem jest Bydgoszcz, licząca 117 tysięcy mieszkańców. Gdynia ma obecnie powyżej 100 tysięcy, Toruń — według spisu z r. 1931-go — 62 tysiące, Włocławek — 56 tysięcy, Grudziądz — 54 tysiące, Inowrocław — 34 tys. mieszkańców.

Klimat Pomorza jest niejednolity; w północnych powiatach znacznie chłodniejszy niż w południowych. Gleby na Pomorzu są różnorodne. Przeważają ziemie słabe, piaszczyste i żwirowate, w szeregu okręgów jednak znajduje się sporo ziem urodzajnych, pszenno-buraczanych. Ostatnio zawdzięczając przyłączeniu ośmiu powiatów, Pomorze zyskało duże obszary gleb żyznych, szczególnie w trzech powiatach kujawskich, wyróżniających się glebami przedniej jakości.

Ustrój rolny na Pomorzu przedstawia się korzystnie. Małorolnych gospodarstw jest tam stosunkowo niewiele, przeważają zaś gospodarstwa średniej wielkości, wśród których znajduje się znaczna liczba gospodarstw wielkokmiecych, o powierzchni powyżej 15 (do 50) ha. Według spisu z roku 1931-go gospodarstw karłowatych do 2 ha było na Pomorzu niespełna 6 tysięcy, małorolnych zaś, o powierzchni od 2 do 5 ha — liczono 10 tysięcy. Jednocześnie gospodarstw o powierzchni od 5 do 10 ha było blisko 15 tysięcy, od 10 do 15 ha — 11 tysięcy, od 15 do 50 ha — 12 tysięcy i powyżej 50 ha — 2 tysięce. Na ogół większość, bo z górą 67 procent gospodarstw na Pomorzu liczyło od 5 do 50 ha powierzchni. Gruntów użytkowanych rolniczo w posiadaniu większej własności było blisko 34 procent. Od roku 1919 do 1937-go rozparcelowano ziemi folwarcznej na Pomorzu 130 tysięcy hektarów, co stanowi około 12 procent całej powierzchni uprawnej województwa.

Przed przyłączeniem sąsiednich powiatów Pomorze liczyło: gruntów ornych — niespełna 900 tysięcy ha, ogrodów — 14 tys., łąk — 104 tys., pastwisk — 54 tys., lasów — 105 tys. i gruntów różnych — 168 tys. ha. Ogółem powierzchnia wymienionych użytków wynosiła 1 milion 637 tys. ha, obecnie zaś wynosi przeszło 2 i pół miliona hektarów.

Z roślin uprawnych na Pomorzu największy obszar zajmuje żyto, którego powierzchnia zasiewów w roku 1937-mym wynosiła 293 tys. ha, czyli 36 procent powierzchni obsianej. Jednocześnie pszenicy zasiewano 54 tys. ha, jęczmienia — 57 tys., owsa — 66 tys., ziemniaków — 131 tys. i buraków cukrowych — 16 tys. ha. Pozostałą powierzchnię orną zajmowały koniczyny, rośliny strączkowe oraz różne inne ziemiopłody.

Pomorze obok Wielkopolski i Śląska wyróżnia się stosunkowo wysoką kulturą rolną. Stąd też mimo nieszczególnych gleb i niesprzyjającego klimatu, rolnictwo pomorskie osiąga dosyć wysokie plony, wyższe niż w innych województwach, mających znacznie lepsze warunki.

Przeciętne plony z hektara za dziesięciolecie były na Pomorzu następujące: pszenicy — 17 kwintali, żyta — 12 kw., jęczmienia — 17 kw., owsa — 14 kw., ziemniaków — 118 kw. i buraków cukrowych — 233 kwintali.

Mierne plony żyta i ziemniaków tłumaczy się uprawą tych ziemiopłodów w większości na słabych ziemiach.

Hodowla zwierząt gospodarskich na Pomorzu znajduje się na poziomie stosunkowo wysokim.

W roku 1937 na każde 100 ha użytków rolnych, przypadało średnio: koni — 14, bydła — 37, trzody chlewnej — 43 i owiec — 15 sztuk. Najbardziej więc na Pomorzu jest rozwinięta hodowla trzody chlewnej, której liczebność w stosunku do powierzchni, przewyższa dwukrotnie pogłowie tych zwierząt w województwach południowych. Na uwagę zasługuje również chów owiec, odznaczających się dużą wydajnością dobrej wełny. Bydło na Pomorzu jest dobrze wyrośnięte przy znacznej wydajności mlecznej.

Wsie pomorskie robią na ogół dodatnie wrażenie. Zabudowania gospodarskie murowane, dostatnie, świadczą o pewnej zasobności rolników. Dobre drogi bite oraz gęsta sieć kolejowa, znakomicie ułatwiają komunikację.

Cały prawie handel w tym województwie (w dawniejszych granicach), znajduje się w rękach polskich. Dlatego też spółdzielczość rolnicza na Pomorzu jest dość miernie rozwinięta. W roku 1935 liczono: spółdzielni rolniczo-handlowych 59 z niespełna 6 tysiącami członków; spółdzielni mleczarskich 86, mających 4 tys. członków, spółdzielni rolniczych innych 24, liczących 1 tysiąc członków, spółdzielni mieszanych 19 i 1.500 członków oraz spółdzielni spożywców 33, mających trochę ponad 3 tys. członków. Mleka do spółdzielni mleczarskich w ciągu roku dostarczono 128 milionów litrów. Poza spółdzielczymi istnieje na Pomorzu liczna sieć prywatnych zakładów mleczarskich.

Pomorze posiada znacznie rozwinięty przemysł, pracujący głównie na miejscowe potrzeby. W roku 1937 Pomorze liczyło 326 zakładów mleczarskich, 265 młynów, 66 tartaków, 30 olejarni, 11 garbarni, 48 cegielni.

Obecnie powiększone Pomorze posiada 14 cukrowni, które produkują czwartą część ogólnej ilości cukru w Polsce. Poza tym Pomorze posiada szereg przetwórni mięsnych, produkujących bekony i szynki na wywóz za granicę, liczne gorzelnie oraz wiele rozmaitych warsztatów przemysłowych i rzemieślniczych.

Do rozwoju rolnictwa pomorskiego w dużej mierze przyczynił się wysoki poziom oświatowy ludności wiejskiej. Odsetek analfabetów na Pomorzu nie przenosi 4 procent. Kółka Rolnicze są tam czynne od lat przeszło 70-ciu. Obecnie liczba tych zrzeszeń wynosi ponad 700, a liczba członków Kółek dosięga 30 tysięcy.

Duży wpływ oświatowy wywierają również czasopisma ogólne i zawodowe, których ludność pomorska odbiera setki tysięcy egzemplarzy. Pomorze posiada 11 szkół rolniczych niższych i 2 szkoły rolnicze średnie. Uczelnie te przygotowują do zawodu rolniczego corocznie setki młodzieży, pracującej następnie z powodzeniem na ojczystym zagonie.

Słusznie więc cała Polska darzy Pomorze wielką sympatią, nasi dzielni Pomorzanie bowiem w całej pełni na to zasługują.

**Inż. W. Chmielecki**

# Z kraju i ze świata

Ubiegły miesiąc był okresem, w którym ciągle oczekiwano, co kto powie, słuchano, co kto mówi i rozpatrywano, co kto powiedział. Więc najpierw oczekiwano z wielkim naprężeniem mowy kanclerza Hitlera w dniu 28 kwietnia. W mowie tej Hitler, odpowiadając na orędzie prezydenta Roosevelta, starał się wykazać, że to nie Niemcy i Italia pchają do wojny, a wszystkie inne państwa, którym zarzucał chęć okrążenia Niemiec. Dalej starał się usprawiedliwić przyłączenie Czech do Niemiec. Oczywiście, przytaczał tu bardzo chytre argumenty, w które sam na pewno nie wierzył. Równie chytrze rozprawiał się z Anglią i Polską, którym nie może darować, że postanowiły udzielić sobie wzajemnie pomocy w razie zagrożenia terytorium niepodległości. Rozgniewany zerwał układ morski, łączący dotychczas Rzeszę z Wielką Brytanią, jak i umowę o nieagresji, zawartą między Polską a Niemcami w r. 1934.

To jednostronne wypowiedzenie umów nie wywarło zresztą większego wrażenia i w niczym nie zmieniło sytuacji politycznej. Tym niemniej z wielkim zaciekawieniem oczekiwano przemówienia polskiego ministra spraw zagranicznych, zapowiedzianego na dzień 5 maja. Przemówienia tego słuchał cały świat, do Warszawy zjechało specjalnie wielu dziennikarzy z zagranicy. Wykazawszy fałsz zarzutów, skierowanych przeciwko Polsce przez Hitlera, min. Beck stwierdził z całą stanowczością, że wszelkie zakusy, zmierzające do ograniczenia naszych praw nad Bałtykiem spotkają się z bezwzględną reakcją ze strony Polski, która „od Bałtyku odepchnąć się nie da", że ponadto Polska, służąc zawsze pokojowi, dążąc do utrwalenia pokojowych stosunków z sąsiadami, nie zna z drugiej strony pojęcia pokoju za wszelką cenę, gdyż dla Polaków jedyną rzeczą bezcenną jest honor.

Mocne, stanowcze i żołnierskie słowa min. Becka wywołały żywy oddźwięk nie tylko w społeczeństwie polskim, ale i za granicą, gdzie ugruntowuje się coraz bardziej zrozumienie dla ogromnej wagi, jaką ma dla rozwoju Polski, jej bytu niezależnego, swobodny dostęp do morza, a więc i należyte zabezpieczenie interesów polskich w Gdańsku.

W dniu 14 maja mówił znowu Mussolini. Wódz Italii faszystowskiej mówił dużo spokojniej od Hitlera i kilkakrotnie podkreślał, że pokój jest głębokim pragnieniem wszystkich narodów, że Włochy zbroją się, aby móc ochronić pokój, że zawarty ostatnio między Italią a Niemcami sojusz wojskowy ma również tylko obronny charakter i nie zagraża pokojowi.

Poza tymi trzema charakterystycznymi przemówieniami świat wysłuchał szeregu niemniej doniosłych mów innych wielkich mężów stanu. Między innymi przemawiał również premier francuski Daladier, premier angielski Chamberlain, obydwaj podkreślali przy tym, że państwa ich są gotowe każdej chwili przyjść z pomocą „dzielnemu i szlachetnemu narodowi polskiemu, który czuwa nad obroną swych interesów".

Jednocześnie odbywały się bardzo ożywione rozmowy między rządami poszczególnych krajów, miały miejsce dalsze i bliższe podróże polityczne. Doszło do zawarcia umowy między Turcją a Wielką Brytanią, a następnie i Francją, co wzmocniło bardzo pozycję państw zachodnich na półwyspie bałkańskim, do umowy gospodarczej między Anglią a Rumunią, co również osłabiło pozycję Niemiec w tym kraju; nie doszło do zawarcia umowy o nieagresję między Niemcami a państwami bałtyckimi, do których z taką ofertą zwróciła się Rzesza. Duże wrażenie także zrobiło wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej w Anglii, gdzie dotychczas panował system ochotniczego zaciągu do wojska, gdyż jest to wypownym dowodem, że społeczeństwo angielskie jest zdecydowane zarówno bronić własnych interesów, jak i wywiązać się z zapewnień natychmiastowej pomocy, danych innym państwom.

**Czwarta rocznica zgonu Marszałka Piłsudskiego.** Uroczytości żałobne związane z czwartą rocznicą zgonu Marszałka Piłsudskiego, objęły cały kraj, a nawet większe i mniejsze skupienia Polaków za granicą. Między innymi podniosłe były uroczystości poświęcenia w Wiedniu tablicy pamiątkowej ku czci Marszałka Piłsudskiego z napisem treści następującej: „Wskrzesicielowi Ojczyzny, Józefowi Piłsudskiemu, Pierwszemu Marszałkowi Polski, godnemu królowi Sobieskiemu wodzowi, który chwałę jego oręża wznowił, chrześcijaństwo ponownie uratował, o losach Europy rozstrzygnął". Ten piękny napis jest specjalnie znamienny w dzisiejszej chwili, gdy oczy świata całego znów są zwrócone ku Polsce, gdy męska postawa całego społeczeństwa polskiego budzi podziw wszystkich narodów. Równie znamiennym jest zakaz obchodzenia uroczystości żałobnych w Gdańsku. Świadczy to wymownie, jak dalece wpływom zewnętrznym uległo to miasto, które, jak stwierdził to w swym przemówieniu min. Beck, nie tylko rozwój swój, ale i racje swego bytu zawdzięcza Polsce.

**Manifestacja jedności narodowej w Sejmie.** W dniu 10 maja Sejm jednomyślnie, bez dyskusji, uchwalił wniesioną przez Rząd uchwałę o pełnomocnictwach dla Prezydenta Rzeczypospolitej. Za projektem tym głosowali wszyscy posłowie bez różnicy poglądów politycznych i bez względu na przynależność narodową, manifestując w ten sposób wspólnotę uczuć o myśli całej ludności, a jednocześnie dając wyraz swej gotowości do zgodnego podjęcia wszelkich wysiłków, celem skutecznej obrony Państwa. Ustawa upoważnia Prezydenta Rzeczypospolitej do wydawania do dnia otwarcia najbliższej sesji zwyczajnej Sejmu dekretów w zakresie spraw gospodarczych, finansowych i obrony Państwa za wyjątkiem zmian, dotyczących uprzednich rozporządzeń o stabilizacji złotego. Intencją Rządu jest korzystanie z pełnomocnictw nie tylko w celu przygotowania i przystosowania życia gospodarczego do obrony, ale także w celu podejmowania środków, któreby zapewniły życiu gospodarczemu normalne funkcjonowanie.

**Wizyta Naczelnego Wodza armii litewskiej w Polsce.** W dniach 9 i 10 maja bawił w Polsce Naczelny Wódz armii litewskiej, gen. Rasztikis. Wizyta ta z jednej strony była wyrazem coraz bardziej zacieśniających się stosunków przyjaźni między Polską a Litwą, z drugiej zaś bezpośrednie rozmowy między najwyższymi przedstawicielami armii polskiej i litewskiej dały możność omówienia szeregu palących i ważnych spraw, jakie nasuwać musiało obecne położenie międzynarodowe. Gen. Rasztikis w oświadczeniu do prasy polskiej i zagranicznej wyraził swój podziw dla wojska polskiego, które wywarło na nim jak najlepsze wrażenie. „Z takim wojskiem — mówił Naczelny Wódz litewski — można mieć nadzieję na dużo zwycięstw".

# Rozrywki umysłowe

### 6. A) Zagadka - anagram

Drogi nam ziemi naszej każdy **cały:**
jak nie zasieją, to owce będą pasały.
Lecz nie mniej drogi od pastwisk dla owiec
jest nasz **wspakowy** kontrtorpedowiec.

**„Kasta"** (Otwock)

### B) Bilety wizytowe

Kto zacz?

DR ROMAN Ł. KITA

O. TONALSKI

M. SOBAN

**„Kawalarz"** (Warszawa)

Za rozwiązanie powyższych zadań Redakcja przeznacza **5 wartościowych nagród książkowych.** Rozwiązanie zadań nadsyłać należy do Redakcji „Polski na Morzu" w Warszawie (Widok 10) **w terminie do 28 czerwca 1939 r.** na kartkach pocztowych z dopiskiem **„Rozrywki Umysłowe".**

### ROZWIĄZANIA

**„POLSKA NA MORZU" NR 4 — KWIECIEŃ 1939 R.**

**4. SZARADA**

**„Dar Pomorza"**

**NA „DARZE POMORZA"**

Bezbłędnie szaradę rozwiązało 165 osób.

W rezultacie nagrody książkowe otrzymują:

1. **Cywiński Albin — Gdańsk,** Stadtsgebiet 16.
2. **Janicki Kazimierz — p-ta Ligota k. Pleszewa,** Korytnica pow. Krotoszyn.
3. **St. wachm. Molęcki Stanisław — W-wa,** Inżynierska 7.
4. **Wengerkowa Elfryda — Tarnowskie Góry,** ul. Karola Miarki 15.
5. **Łuczakówna Irena — Konin,** Słowackiego 6.

Nagrody niebawem wysyłamy przez pocztę; prosimy o potwierdzenie odbioru.

**Wszystkim Czytelnikom i Sympatykom Działu** — komunikujemy, że nieocenionymi i niezbędnymi przy rozwiązywaniu i układaniu zadań sa



PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE
**Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10; telefony: red. 5-22-04, admin. 6-99-66.**
**WYDAWCA: Liga Morska i Kolonialna** **REDAKTOR: Stanisław Szymborski**
Druk. Zakł. Graf. „Dom Prasy" S. A., Warszawa, Marszałkowska 3